

# Z REKOPISM EDWARDA RACZYŃSKIEGO

---

Koncept artykułu nigdy nie danego do druku, a napisanego z przeżyć własnych, mianych w Poznaniu w czwartek, dnia 27 listopada 1806 roku

Proszony przez Redakcję o napisanie wspomnienia z uczestnictwa mego w napoleońskiej kampanii, nie mogę, jako żywo, negatywnie do tej prośby się odnieść, pomny na obowiązek generacji mojej, co na oczy własne oglądała najznamienitszych mężów epoki minionej. W momencie, kiedy naród polski pozostaje bez steru i sterownika, kiedy hałaśliwa junakieria czyni zamęt, kiedy stu mesjaszów wznosi swoje chorągwie – trzeba nam gwiazdy przewodniej, statku, rozważagi, a i wejrzenia na chlubne karty dziejów polskich, by nie zaginęła pamięć zrywów i czynów wielkich.

Moja zdatność do literackiego rzemiosła nie jest wielką, nie umiem także spojrzeć w czas przeszły jak na pasmo promiennych i świętych wydarzeń, przeto nie napiszę tu nic bezkrytycznie wzniosłego. Atoli nawet gorzkie dumanie może rozpalić serca ku wspieraniu najświetlejszych dążeń narodu. Pocziwe serca i gorejące płomienie afektów muszą być kierowane przez głos skrupulatnego sumienia.

Kampania napoleońska stanowiła decydującą próbę ducha mego. Dałem był się porwać wichrom epoki i poszedłem za francuskim bogiem wojny, atoli tłumilem owe porywy trzeźwym umysłem, a najznamienitszemu mężowi świata przyglądałem się z jakowąś dozą sceptycyzmu. Toteż lubo przygody owego czasu stały się okrasą i osłodą mojej młodości, jednakże nie samą jeno, bom zaznał tyleż samo gorzkości i zebrał niemały plon nauki na życie całe. Entuzjizm mój gaś, już od pierwszego dnia poczynając – od owego dnia, gdym boga wojny na własne ujrzał oczy. Jak stało się, że nie zgąst całkiem?

Opiszę tu zatem ów dzień pierwszy – jeden dzień jeno, atoli bogaty w wypadki, słodki i gorzki zarazem. Na świeczniku

stojąc, nie mogę zezwolić sobie na to, by zwątpienie siać, ale i zwodniczymi iluminacjami błyskać. Trzeba trzeźwością się kierować i skrzętnymi rękami brać przedsię to, co trudne, acz jednocześnie usposabiające do ojczyściej służby.

Kłusowałem oto z dwoma towarzyszami broni do miasta, co miało stać się na ileś tam dni świata centrum – bo nie Polski jeno. Świata, jeżeli zważyć, iż Napoleon ustanawiał nowe porządki na wielu ziemiach. Jako żywo, to Mars zstąpił z niebiesiech i z wojskiem swoim siał śmierć pośród nieprzyjaciół, wolnym narodom kładąc węgielny kamień potęgi.

Deszcz listopadowy siekł w oczy, ciemność panowała omal całkowita i jeno instynktowi koni winniśmy dzięki za to, żeśmy pomimo wszystko zblizali się do Poznania.

Kłęliśmy wszyscy trzej i po cichu, i głośno, aliści wiadomo że służba służbą. Imperator ordynował działania swoje według własnych planów czy też popędów i trudno było się dziwić, jeżeli one nie ze wszystkimi trafiały w terminarz naszych przygotowań, którego on koniec końców nie znał. Zapędzeni w machinę operacji, związanych z jego podbojem Europy – brnęliśmy w błocie, miasto spać. Widać wielkie wydarzenia historyczne rodzą się w takich samych bólach, w jakich rodzi się człowiek. Jako żywo, wszelkim narodzinom towarzyszyć muszą pewnikiem rwetes i krzyk, pośpiech i krzątanie. Onże mistyczny akt tworzenia nie należy do najcudniejszych widoków. Mniemam, iż nie raz paść musi przekleństwo, nim ozwą się błogosławieństwa i gratulacje.

W naszej imaginacji rodziła się wolna Polska, lubo nie wszyscy w to wierzyli. Zwycięstwa Napoleona nad Prusami nie budziły bynajmniej entuzjazmu pośród licznych Polaków, nawet przejście Odry przez wojska francuskie przyjęto z obojętnością jakowąś. Kiedy trzeciego listopada pierwsza grupa Francuzów wkroczyła do Poznania – witano ją z rezerwą. Nieliczne jeno osoby wzniosły wiwaty w odpowiedzi na słowa pułkownika Exelmansa, kiedy ten grzecznie oświadczył, iż nie znajduje się w kraju nieprzyjacielskim. Koniec końców nawet Niemcy nie frasowali się niczym i pruska zwierzchność wówczas funkcjonowała sobie po staremu.

Nasz dziad, Kazimierz Raczyński – święć Panie nad jego duszą – zareagował po swojemu. Dwa lata rychlej już, krótko po śmierci świętej pamięci ojca naszego, umieścił był mnie razem z bratem moim Atanazym na studiach we Frankfurcie, a po roku przeniósł do Berlina, gdzie zastała nas wojna. Sły-

sząc teraz o żwawym marszu Napoleona i o możliwości przyłączenia się Polaków do boju o wyzwolenie ziemi zabranej Polsce jako Prusy Południowe – wysłał do nas z Warszawy list, któryśmy otrzymali w ostatniej godzinie naszego pobytu na Unter den Linden, a w którym pisał: „Nie ważcie się wstępować do żadnej armii!”.

Myśmy atoli zostali żołnierzami natychmiast po płomiennym wezwaniu, rzuconym przez Henryka Dąbrowskiego i Józefa Wybickiego. Uczestniczyliśmy trzy tygodnie przedtem w triumfalnym ich wjeździe do Poznania, towarzysząc wodzom w pochodzie do Polski, budzącej się z niewoli...

A teraz oto przez zasłonę ciemności, mgły i deszczu rozpoznawaliśmy z moimi towarzyszami broni podpoznańskie wsie: Krzyżowniki, Jeżyce, na koniec Kundorf.

Szczęściem było tak późno, iżemy nawet nie mogli nikomu złożyć meldunku. Szczęściem też – lubo byliśmy żołnierzami – nie mieliśmy obowiązku jechać na wojskowe kwatery, jeno moglibyśmy pójść spać każdy do swego pomieszkania. Przeto jeden z trójki taką rzucił propozycję: „Wiem ja, gdzie tu na Kundorfie dziewczki zdatne do pospólnego spania są. Tam się udamy, tam i na wieczerzę trafimy dobrą, i na dzban wina”.

Drugi podchwycił myśl, która wydała mu się jeniałna. I już ruszyli w boczną drogę, do miejsca, gdzie światła się w domu jakowymś jarzyły. Aliści jam wspomniał na świętej pamięci matkę swą i rzekłem, by jechali do owych dziewczek, bo jam ogromnie znudzony jest i w domu swoim rzucę się w objęcia Morfeusza.

Tako się stało. Rozjechaliśmy się – oni w lewo, ja prosto. Umówiliśmy się jedynie, że o ósmej rano stawimy się we trzech przed obliczem porucznika Jana Nepomucena Umińskiego, dowódcy naszej gwardii.

Zasnąłem momentalnie po przyłożeniu głowy do poduszki. Utrudzenie drogą okazało się tak radykalnym środkiem na sen, żem spał głęboko, wolny do wszelkich marzeń, aż do siódmej rano. O tej to porze towarzysz Morawski wskoczył do mnie z rozkazem, byśmy na ósmą stawili się do domu Mielżyńskich, gdzie ma na nas czekać nasz dowódca.

W domu Mielżyńskich rezydowali wszyscy wodzowie poznańskiego powstania. Nie miałem daleko do ich kwatery. Nie tak prędko jednak dopuszczono nas przed oblicze Wybickiego. O Dąbrowskim w ogóle mowy być nie mogło, zbyt niskiej rangi żołnierzami byliśmy, by ubiegać się o przyjęcie

przez wodza, pod którego drzwiami czekała grupa wysokich dostojników i dygnitarzy. Należeliśmy po prawdzie do gwardii honorowej cesarza, atoli miało to wszystko – jak do tych pór – symboliczne jeno znaczenie. Lubo, koniec końców, Wybicki szczyił się takż dystynkcją jenerała należąca jeno do symboli – jednakowoż ta jego nominacja z okresu insurekcji liczyła się. Dowód w tym, iż stał na czele ludzi zajmujących się sprawami cywilnymi i organizowaniem zaciągu do armii.

Aliści mieliśmy stać się teraz najbardziej prawdziwą gwardią cesarską. Rozchodziło się akuratnie o przybycie do Poznania Napoleona. To zaś zaczęło się gmatwać. Wówczas kiedyśmy dzień w dzień w sto koni odbywali ćwiczenia za miastem – zaraz przy wiatrakach stojących opodal drogi do Buku – Wybicki opracował był skrupulatnie cały plan powitania imperatora. Atoli plan ten walił się. Nie układało się teraz tak gładko, jak ułożył się przyjazd Dąbrowskiego i Wybickiego do Poznania trzy tygodnie rychlej. Jechałem był wówczas z Berlina razem z nimi i przeżywałem owe doniosłe momenta głęboko, siedząc na swym koniu w bezpośredniej bliskości wodza Legionów. Z rozmysłem wycelowano nasz wjazd do miasta na noc, by uniknąć nadto wielkich manifestacji, atoli mieszkańcy Poznania wyszli nam na spotkanie z pochodniami i wznosili gromkie pozdrowienia. Nazwiska wodzów znane były w całej Polsce, otaczała je szczególna cześć, która po dziś dzień bynajmniej nie wygasta. Na Świętym Marcinie zgromadziła się była cała niemal społeczność miasta. Prowadzeni przez orszak młodzieży szlacheckiej, podążaliśmy dumni i szczęśliwi, że oto Poznań jest od nowa polski. Od powozu, którym jechali wodzowie, zostały wyprzęgnięte konie; ciągnęli go mieszczanie w powodzi światła, całe miasto bowiem wspaniale iluminowano.

A jak teraz miała ułożyć się sprawa z przyjazdem Napoleona? Chodziło przecie o to, by cesarz ujrzał entuzjazm Polaków i ich gorącość do boju, by przekonał się o wartości sprzymierzenia się z naszym narodem. By doszedł do wniosku, że Polska musi zostać wydobyta z ciemnego chaosu jako samodzielne, wolne państwo.

Ludność Wielkopolski miała powitać imperatora w Międzyrzeczu i stamtąd prowadzić go do stolicy. Wszystkie kościoły miały bić w dzwony, księżom nakazano wychodzić naprzeciw gościa z kadzidłem i wodą święconą. By to się dokonało, trzyosobowe przedstawicielstwo naszej gwardii udało się było

do Międzyrzecza. Aliści tam niczego nie mogło być pewnym: ani tego, kiedy wielki gość przyjedzie, ani tego, którądy będzie wiodła jego droga. Dla wyjaśnienia poniekórych okoliczności wróciliśmy oto do Poznania, by tu poczynić jakoweś jaśniejsze ustalenia.

Siedząc w przedpokoju – my, trzej gwardziści – rozmawialiśmy o tym i składaliśmy Umińskiemu relacje z naszej podróży. Ten jeno słuchał i kiwał głową.

Józef Wybicki był, jako żywo, świetnym organizatorem, administratorem, prawnikiem. Okazało się jednakowoż, że nie każdą rzecz da się ująć w paragrafy.

Wyczerpawszy z towarzyszymi temat, czekałem niecierpliwie na przyjęcie przez dostojnika i miałem w rękach dokumenty tyżące się sprawy. Przyznam się, że mnie to już zaczynało gniewać, aliści zarazem i śmieszyć, lubom zwykł brać wszystko nader poważnie, zaś do form przywiązywałem duże znaczenie. Nie mogłem atoli w poniekórych momentach powstrzymać się od uśmieszku, kiedym – po wczorajszej galopadzie przez słotę i błoto – czytał dokument zatytułowany *Program wjazdu do Poznania Najjaśniejszego Napoleona W.*, datowany przez Wybickiego w Poznaniu, 10 listopada 1806:

Od strony tej, skąd się spodziewamy jego przybycia, są cztery bramy triumfalne, przez które będzie przejeżdżał.

Par. 1. Od pierwszego zaczawszy arku, już nieprzerwanym pasmem stać będą gminy ludu różnego wieku i płci, aż do miasta, wołając: „Niech żyje Napoleon!” NB. Ten paragraf aby był uskuteczniiony, przedsięweźmie się środki takie, aby każda wieś poblizsza, każde przedmieście wiedziało, przy którym arku ma stanąć.

Par. 2. Na amfiteatrach z obydwóch stron nikt się mieścić nie będzie bez biletu mu danego, od osoby na to przeznaczonej. Szczególniej jednak w pierwszej ławie znajdować się będą młode panny, w bieli ubrane, rzucając kwiaty pod powóz Napoleona, śpiewając ku jego chwale pieśń...

Par. 3. Pod ostatnim arkiem Dąbrowski prezentować będzie osoby Najjaśniejszemu Napoleonowi...

Par. 4. Od tego arku przejdzie cesarz prosto ku teatrowi; stamtąd w lewą rękę. Od Wilhelmowskiej ulicy pojedzie Najjaśniejszy Napoleon prosto ku Bramie Wronieckiej...

Par. 5. Od tej bramy ulicą Wroniecką po prawej stronie ratusza, koło odwachu, aż do ulicy Jezuickiej, i tą przed kościół św. Stanisława Najjaśniejszy Cesarz prowadzony będzie. NB. Poczynić trzeba jak najskuteczniejsze dyspozycje, aby ile być może drogi były uregulowane, mostki na rynsztokach dane, ulice i rynek wychędożony.

Par. 6. Przed kościołem pojezuickim stać będzie duchowieństwo, podług danego mu przepisu, dla przyjęcia Wielkiego Napoleona i poprowadzi go pod baldachimem do ołtarza.

Par. 7. Do kościoła nikt nie będzie puszczony bez biletu, a bilet nikomu nie będzie dany z współstwa.

Par. 8. Z kościoła prosto do swych pokoi Najjaśniejszy Pan poprowadzony zostanie.

Par. 9. A że nie wiadomo jest, czyli w nocy Najjaśniejszy Pan przyjedzie, bramy triumfalne przeto na wszelki wypadek muszą być lampami ozdobione. Od arku zaś do arku powkopuje się słupy, na których kagańce i duże stoje nalane łojem, etc., stać będą, aby w potrzebie mogły być zapalone. Również i teatr iluminowany będzie.

Par. 10. Przy arkach postawi się strażę dzienne i nocne z obywateli poznańskich. NB. Rząd miejski wyda do tego stosowne rozrządzenie.

Par. 11. Na znak dany zbliżenia się do miasta Najjaśniejszego Napoleona, we wszystkie po kościołach dzwony, aż dopóki do kościoła nie wnijdzie, dzwonić się będzie.

Par. 12. Za przybyciem Najjaśniejszego Pana do Poznania ciągle przez trzy wieczory iluminacje dawane będą na znak powszechnej radości. Domy naprzeciwko okien mieszkania Najjaśniejszego Pana, tudzież kościoły i wielkie gmachy miasta będą zewnątrz iluminowane...

Na koniec poproszono nas do gabinetu Wybickiego, a właściwie mnie razem z Umińskim, jako dowódcą naszym. Jenerał pewnością spamiętał sobie mnie z Berlina, koniec końców znał mego dziada Kazimierza, który za czasów Stanisława Augusta stał na świeczniku.

Pełnomocnik imperatora promieniał entuzjazmem i optymizmem. Całe jego oblicze, okolone siwizną, wyrażało radość, a oczy błyszczały życzliwością. Wydostał się spoza masywnego stołu dębowego i po wojskowemu powitawszy dowódcę mego, mnie objął ramionami, a zasię posadziwszy na krześle przy oknie począł prawić, ani myśląc dopuścić kogo innego do głosu:

„Jak się cieszę, starościcu, że cię widzę! Sprawdza się na waści piękna opinia o rodzie Raczyńskich, nader zasłużonym dla ojczyzny. I pomyśl, starościcu, czegośmy doczekali! Poznań znów wolny, niebawem zaś będzie wolna cała Polska! Czy wystawiasz sobie, poruczniku Umiński, czy wystawiasz sobie starościcu, jaką ekstraordynaryjną radość tu przeżyłem? Otóż na spotkanie ze mną przyjechała do Poznania połowica moja z córką. Wydaje mi się to dobrym, pomyślnym prognostykiem! Aliści odwdzięczam się za to Opatrzności, jako jeno potrafię. Zorganizowałem polską administrację i tu, i w Kaliszu. Na to przyszło Prusakom! Wystawcie sobie, panowie, jak ludzie chłonęli naszą odezwę, podpisaną przez Henryka Dąbrowskiego!” Wziął ze stołu arkusz papieru i począł czytać: „Obywatele poznańscy! Miło mi jest oświadczyć, że tchniecie duchem prawdziwych Polaków, wnosząc z tego jak najlepsze skutki dla naszej Ojczyzny». Atoli znacie, panowie,

tę odezwę”. Odłożył papier. „Najważniejsze jest wojsko, a mamy Gwardię Narodową jak się patrzy. Napoleon będzie zadowolniony z bojowej postawy Polaków. Pozna on, żeśmy godni być narodem, że w nas nie ostygła krew Sobieskiego i oręż nasz nie zaszedł rdzą. No, ale, ale, jakże tam w Międzyrzeczu? Pan przecież bywasz z wieściami stamtąd, starościcu?”

Po tym wybuchu entuzjazmu lękałem się wyjawić moje hiobowe wieści. Nie wiedziałem, jak temu optymiście oznajmić, że właściwie wszystkie przygotowania do przyjęcia cesarza wałą się.

Wyłuszczyłem mu oględnie to, co mi polecono przekazać z Międzyrzecza. Słuchał nerwowo, jedną ręką niespokojnie gładząc czuprynę swoją, drugą szarpiąc guziki mojego galowego munduru. Gdym atoli zakończył swą relację – jakby raptem o mnie zapomniał. Przewertował jakoweś papiery, porozmawiał już nie ze mną, jeno z Umińskim, zadzwonił na adiutanta, wydał mu jakoweś polecenia, zasię ktoś jeszcze inszy wszedł i odebrał coś od niego. Na koniec generał sam wypadł z gabinetu, by wrócić doń za moment. Jako żywo, niczem nie pojmował, alem się domyślał, że to wszystko musiało mieć jakowys sens. Za to mój dowódca był wyraźnie gniewny.

Koniec końców – tak samo raptownie i niespodziewanie – Wybicki zerknął na mnie, jakby ujrzał mnie dnia tego po raz pierwszy, a przetarłszy oczy, rzekł: „Przeto dziękuję ci, starościcu”. Zasię zwrócił się do dowódcy mego: „Przeto dziękuję panu, poruczniku”.

Wyprężyłem się na pożegnanie. Gospodarz szedł do mnie powoli, dostojnie. Na obliczu jego pofałdowały się zmarszczki i malował się wyraz utrudzenia.

„Co mamy czynić, wielmożny panie jenerale?” – spytał Umiński.

„Czekać! Czekać na dalsze polecenia. Żegnam was, panowie”.

To rzekłszy, podał mu dłoń na pożegnanie, a zasię pożegnał się ze mną.

W tej sytuacji nie mieliśmy nic więcej ani do powiedzenia, ani do zapytania. Gdyśmy opuścili gabinet, nasi towarzysze w poczekalni daremnie próbowali cokolwiek pojąć z tego, co im tłumaczyłem. Dopiero po wyjściu z domu Mielżyńskich dotarła do ich umysłów ostateczna konkluzja, iż mamy czekać.

Nasz dowódca pomknął na koniu przedsię, a myśmy spacerem poszli przez miasto. Pogoda lepsza już była niżeli w nocy.

Niebo po prawdzie zasnuło się chmurami na dobre, atoli nie częstowało nas ni deszczem, ni śniegiem, którego należało się spodziewać, bo wraz z częściowym wypogodzeniem przyszedł mróz. Humory przeto powróciły nam łatwo i słusznie medytując, że polecenia dla nas nadejdą nie tak skoro, weszliśmy do winiarni na rynku. Tam długo słuchałem relacji kamratów o tym, co i jak czynili z dziewczkami poprzedniego wieczoru na Kundorfie.

Dopiero po dwóch godzinach opuściliśmy winiarnię w jeszcze lepszych humorach i ruszyliśmy w ulicę Wodną, by udać się do dawnego kolegium jezuickiego, gdzie przygotowywano rezydencję dla imperatora. I oto ulicą tą stąpały wolno konie, ciągnąc wytworną, otwartą karocę. Siedziały w niej dwie damy: jedna starsza, druga młodsza.

Urodziwe oblicze tej drugiej sprawiło, żeśmy wszyscy trzej, jak na komendę, zatrzymali się na poboczu wąskiej uliczki. Pogoda rozstłoneczniła się już na dobre, bo co miało się wypadać, już się wypadało, ale ziąb chwytał luty, przeto starsza dama siedziała otulona futrem, z głową nakrytą futrzaną czapą. Za to wyraźnie widziałem czoło wysokie młodej damy, pod nim jej bystre, duże oczy, a niżej rumiane policzki, kształtny nos i wąski pasek ust powabnych, z lekko rozwartymi wargami, ukazującymi szereg białych ząbków. Urzeczony tym widokiem, zapytałem kamratów, czyli znają tę damę. „Nie znamy” – zapewnili obaj. „A ty?” – „Takoż nie znam” – odparłem. „Aliści dzisiaj muszę ją poznać”.

Sam nie pojmuję, dlaczegom wyrzekł te słowa, bom prowadził nawet w mundurze żywot stateczny i płeć piękna mnie w szczególny sposób nie pociągała, lubo marzyłem o tym, by mieć w domu mądrą, piękną a cnotliwą towarzyszkę.

Karoca znikła już na rynku, za załomem muru. Zapomniałem o niej rychło, znalazłszy się w imperatorskiej rezydencji, w której oczekiwała honorowa gwardia. Jako żywo, udało się nam dołączyć do niej w samą porę, bo już i nas oczekiwano. W pośpiechu ledwieśmy znaleźli sposobność, żeby się posilić, bo za chwilę poderwano nas na nogi nagłym alarmem.

Po błyskawicznym przeglądzie kazano wsiadać na konie. Setka młodzieży szlacheckiej zapełniła dziedziniec, zamieniając go w prawdziwe piekło. Zgiełk zapanował nie do opisania i dopiero po połowie godziny wyłonił się zeń, niby z biblijnego chaosu, stukonny oddział gwardzistów. Faktyczną komendę trzymał nad nami Dezydery Chłapowski, mianowany adiutan-



tem i instruktorem przez Umińskiego, jako że ten mało co znał się na mustrze.

Nie wiedzieliśmy nic i nie udzielono nam żadnej informacji. Domniemywaliśmy jeno, że gotujemy się do wymarszu na spotkanie imperatora, który znanymi jeno samemu sobie drogami i o sobie jeno znanej godzinie miał wjechać do naszego miasta. Od dnia poprzedniego zdawało mi się, że przeobrażenie Poznania w tegoczesną stolicę świata przemknie niespostrzeżenie. Czyżby ów wielki moment miał jednakże zostać uchwycony?

Było około południa, kiedyśmy z kompleksu pojezuickich gmachów wyruszyli konną kawalkadą w kierunku Jeżyc, a dalej w stronę Tarnowa Podgórnego. Tam zatrzymano nas dla dania odpoczynku koniom i oznajmienia gwardzistom, że Napoleon blisko!

Z taką oto wieścią ruszyliśmy w dalszą drogę. Mijaliśmy wioskę za wioską, zatrzymywaliśmy się od czasu do czasu – i tak aż do zmroku. Miałem, jako żywo, dość czasu na rozmyślanie.

Moje życie przez ostatnie trzy tygodnie toczyło się wokół tej jednej sprawy: czynić wszystko, co by podobało się imperatorowi, by odczuł zadowolenie na widok polskiego narodu, by raczył dać mu wolność. Napoleon jawił się niczym bóg. On był motorem wszystkiego, co się działo – wiarą, nadzieją, miłością. Azaliż nie nad nim to poczęło się w tym momencie przejaśniać niebo?

Kiedyśmy w chaotycznym stukocie setki końskich kopyt przemierzali drogę, prowadzeni przez kilka zapalonych na przedzie pochodni jako przez gwiazdę przewodnią – pojawiła się i pierwsza gwiazda niebieska, a po niej parę inszych. Firmament przecierał się z chmur. Stało mi się na duszy raźniej i wstąpiła we mnie nadzieja na rychłe uwolnienie ojczyzny, na lepszy byt Polski.

Kiedy wyłoniła się z mroku wieża starego kościółka, pamiętam jeno, że mój sąsiad z szeregu zawołał: „To Bytyń!” I zaraz padła komenda postoju. Teraz rozdano wszystkim pochodnie. Zapaliliśmy je i stanęliśmy w ogromnej jasności, która oślepiła nas i konie, niespokojnie przebierające kopytami.

Kiedyśmy w gwardyjskim szyku wjechali na środek wsi, stał przed ogromnym, ciężkim powozem Napoleona, któremu przeprzęgano konie, generał Dąbrowski, i gestykulując, prze-

konywał go o jakowejś racji. Zoczywszy polską gwardię, obaj mężowie powitali nasz oddział skinieniem rąk. Niestety, Napoleona przez zamknięte drzwiczki powozu zoczyć nie mogłem, musiała mi wystarczyć jego wysunięta przez okienko ręka. Poznałem jeno znaną mi od dawna, miłą memu sercu postać wodza Legionów, milszą mi od wielkiego Francuza, który nawet nie raczył pokazać się swej gwardii.

Dano nam rozkaz jechać na samym czele pochodu, przed dwudziestu pięciu strzelcami gwardii francuskiej, która do tych pór jako eskorta wyprzedzała powóz. Umiński oświadczył nam, iż jest to wyraz szczególnej łaski i zaufania cesarza.

Kiedy padł rozkaz wymarszu w stronę Poznania, powtórnie przedefilowaliśmy galopem przed imperatorskim powozem. Chciałem przyjrzeć się wszystkiemu dokładnie i jeszcze raz ujrzeć cesarza, atoli w rozmigotanym świetle pędzących pochodni zdołałem dostrzec jeno siedzącego na koźle mame-luka w białym turbanie na głowie.

Dalej pomnę jeno długi, uciążliwy marsz przez czarną noc, z częstymi przerwami, bo ciężki powóz Napoleona brnął w wielkim błocie. Wjazd do Poznania odbył się po cichu, bez manifestacji, z pominięciem tak skrupulatnie przygotowanych arków triumfalnych. Imperator wraz ze swą świtą wysiadł przed gmachem pojezuickim i udał się na spoczynek. Dwudziestu pięciu naszych gwardzistów pozostało na posterunku, w przygotowanym na ten cel pomieszczeniu parterowym. Ja nie należałem do wybranych. Czemu nie – o tym dowiedziałem się nazajutrz.

Otóż rano, spotkawszy się z Dezyderym Chłapowskim, ujrzałem na jego obliczu jakowąś ekstraordinaryjną serdeczność. Adiutant komendanta gwardii przytrzymał przy powitaniu moją rękę i uśmiechając się, powiedział prędko:

„W nagrodę za ową fatalną noc z Międzyrzecza do Poznania daję waści dzień wolny, atoli jeno do czasu rozpoczęcia popołudniowej audiencji. Proszę przysposobić się galowo, znajdziesz się waść w najbliższej asyście Napoleona. Ja będę go miał dość przez cały dzień. Tuszę, iż chce on z rana umknąć dygnitarzom i pierwej zobaczyć sam, co się święci. Przeto zgoda?”

Podziękowałem zażenowany.

I już go nie było widać, już pobiegł przed siebie – elegancki, zgrabny, zwinny jak zawsze.

A wolny dzień okazał się, jako żywo, nie tyle wolny, co

straszny. Przez cztery bite godziny z pomocą służby domowej przysposabiałem się do gali. Przez parę pozostałych godzin oczekiwałem Chłapowskiego na wartowni. Mówiono, że cesarza nie ma w rezydencji i ciągiem go poszukiwano. Ponoć Dąbrowski i Wybicki umierali z trwogi o jego życie.

Chłapowski wkroczył do wartowni już o zmroku, akurat, kiedy zapalano świece. Pociągnął mnie za sobą do izby, którą miał do swej dyspozycji i posławszy po obiad ordynansa, sam rzucił się w mundurze i w butach na łóżko, przeprasząc mnie za to. Wypawszy się, zapytał, czym jest gotów, co potwierdziłem.

„To znamienicie” – rzekł. „Za pół godziny mój zaufany zaprowadzi wasci tam gdzie trzeba”. Tu zrobił małą przerwę w mówieniu by po niej wypalić: „Wiesz waść, com czynił przez cały dzień?”

„Tuszę, iż nie wie tego nikt, krom waszmości”.

Parsknął z wyraźnym zadowoleniem.

„To prawda. A kiedy by insi się dowiedzieli, pękałaby im wątrobą z zawiści. Wystaw waść sobie bowiem takie rzeczy. Od samego ranka różni ludzie czekali na Napoleona. Takoż cały nasz oddział, krom waści i kilkunastu inszych, stał gotowy na podwórku. Imperator zjawił się o dziesiątej i od razu wsiadł na konia. Kiedy ruszył ku bramie, my czterej pierwsi – uprzednio wybrani – puściliśmy się za nim, jednocześnie z kilkoma Francuzami. Po jakowymś momencie podążyła za nim cała gwardia. Nic nikomu nie zapowiadając, cesarz rozpoczął galopadę przez miasto, prosto do mostu nad Wartą. Minęliśmy Chwaliszewo i Śródkę, kierowaliśmy się ku drodze prowadzącej do Warszawy. Błoto – nie błoto, pędziliśmy za nim aż pod Swarzędz. Od czasu do czasu cesarz zatrzymywał się i rozglądał dookoła, wypytując mnie i Umińskiego o różne sprawy. Interesował się zakwaterowaniem i aprowizacją wojsk, furazem dla koni. Jakiż on bystry, nie masz waść pojęcia! Przed samym Swarzędzem zesliśmy z drogi na pagórek i stamtąd Napoleon rozglądał się po polach. Patrzyłem na niego zdumiony. Wystawiłem sobie, iż widzi on na polu rozstawione oddziały swej armii i przymierza je do warunków terenowych. Zatrzymywał się tak i rozglądał kilka razy, a jam pilnie obserwował jego zachowanie, bom był w gronie tych czterech wybranych. Miałem wrażenie, że znam go od dawna, że m widywałem go już wiele razy, taki był urzekająco podobny do wizerunków, wyobrażających go na koniu. Oczy

jego bez ustanku rzucały błyskawiczne spojrzenia, badały każdy szczegół terenu. Kiedy spoczęły na czymś, ciemniały głębokim zamyśleniem. Atoli w momentach, kiedym podczas rozmowy zbliżał się do niego na najkrótszą odległość, przekonywałem się, że są to oczy całkiem jasne”.

Ordynans wniósł jedzenie. Podnieśliśmy się obaj ze swych miejsc. Powiedziałem, że podziwiam jego bliskie kontakty z Napoleonem. Było to niezbyt szczere, bo mój rozmówca chwalił się nadmiernie.

„Och, to dzięki temu, że przez cztery lata służyłem w dragonach” – odrzyknął. „Umiński wiedział o tym i z tej przyczyny uczynił mnie instruktorem, a zarazem adiutantem swym. Teraz, muszę się pochwalić, mocnom spodobał się naszemu wielkiemu Francuzowi”.

„Dziękuję wam za poparcie” – dodałem jeszcze na wychodnym, mając na myśli audiencję.

Po jakowychś trzech kwadransach znalazłem się w miejscu, gdzie Napoleon pokazać się miał przedstawicielom Poznania i Wielkopolski. W dużej, z przepychem urządzonej sali niecierpliwie przechadzali się wygalowani dygnitarze: wojskowi, duchowni, cywilni. Znałem większość z nich, jeżeli nie osobiście, to z widzenia. Stałem opodal zaimprovizowanego tronu i obserwowałem podekscytowane oblicza, na które z wysiłkiem przywoływano uprzejme uśmiechy. Raptem z gwaru rozmów dobiegło mych uszu, iż cesarz poprosił do siebie Wybickiego.

„Tak?” – zdziwił się jakiś kanonik. „A pan generał Wybicki akuratnie przed małym momentem przechodził mimo korytarzem”.

„Już wrócił od niego” – wyjaśnił mi nieznany oficer. „Cesarz zakomunikował mu o wkroczeniu Francuzów do Warszawy”.

Potwierdziły się więc krążące o tym po mieście pogłoski.

„Och, to wielka dla nas siurpryza!” – zawołałem.

„Tak. Wybicki otrzymał rozkaz natychmiast tam się udać, przeto już tu nie wróci, nie będzie go w czas audiencji”.

Poprzedzony osobistościami ze swej świty, Napoleon wchodził do sali. Kroczył monumentalnie – w istocie ten sam całkiem co na portretach – gestami okazując przychylność i łaskawą serdeczność. Było coś sztucznego, nienaturalnego w jego posturze. Nie mogłem pokochać go w tym momencie, lubo nader tego pragnąłem. Wyrzekłszy jakoweś zdanie, któ-

regom nie dostyszał, zajął miejsce na tronie. Polacy kłaniali mu się nisko. Zasię w niemym oczekiwaniu skupili się naprzeciw niego i świty.

Ja znalazłem się w najbliższym otoczeniu imperatora. Patrzyłem na zbitą ciżbę Poznańczyków i, jako żywo, poczułem odczuwać wstyd na ich widok. Nadzieja nadzieją, czemuż atoli jako swego najwyższego władcę traktują męża, reprezentującego obce, lubo sprzymierzone z Polską mocarstwo?

Henryk Dąbrowski zapowiedział po francusku, że cesarzowi imieniem senatu pragnie złożyć hołd wojewoda Józef Radzyński. Wymieniony wysunął się do przodu i rozpoczął orację w języku łacińskim. Brzmiało to niczym modlitwa do cesarza – tym więcej, że styl przemówienia był na poły ewangeliczny, na poły antyczny. I uczyniło mi się jeszcze bardziej żal zebranych, zwłaszcza zaś mówcy.

„Zachód widział pojawienie się twego jeniusza – brzmiał patetycznie doniosły głos – Południe stało się zapłatą za trudy, Wschód jest dla ciebie przedmiotem admiracji, Północ stanie się granicą twoich świątynnych zwycięstw”.

Rozejrzałem się i szukałem na twarzach reakcji na ostatnie słowa: czy ową sugestią o Północy przyjmowano jako pomyslną i życzliwą wróżbę? Czyli jako przewidywanie złowieszcze? Cóż bowiem znaczy: „stanie się granicą”? Miasto twarzy widziałem jednakowoż maski. Maskę miał na swym obliczu także Napoleon. Ktoś szepnął mi do ucha, że bóg wojny nie rozumie łaciny i siedzi jak na tureckim kazaniu.

Przemówienia łacińskie trwały długo i zaczynały być nudne także dla rozumiejących ten język. Zebrani tłumili ziewanie, cesarz nie taił min i gestów zniecierpliwienia. Breza mówił w imieniu poznańskiej Izby Administracyjnej, Sokolnicki w imieniu rycerstwa, arcybiskup gnieźnieński reprezentował duchowieństwo, Krzyżanowski rejencję, Kotecki magistrat. Słuchacze dławili się stylistycznym konwenansem, mówcy gubili się w długich, kunsztownych frazach, sławiących wielkość potężnego Cezara, mądrość najsprawiedliwszego Solona. Francuzi przyjmowali dziwaczną uroczystość z nie tajoną niechęcią. Mnie było ordynaryjnie wstyd, że ci ludzie tak się ponizali. I to mają być narodziny Polski? – myślałem przez cały czas.

Napoleon przez dłuższy moment namyślał się, jak by teraz odpowiedzieć, kiedy przebrzmiały ostatnie zdania Polaków. Władczym wejrzeniem wodził po sali. Na koniec uśmiechnął

się łaskawie. Przeszyłem go wtedy wzrokiem na wylot. Wiedziałem, jako żywo, że będzie zmierzał najkrótszą drogą do powiększenia swej armii. Wiedziałem, że niczego więcej od Polaków nie potrzebuje, że jego sympatia dla nich mierzy się ilością dostarczonych żołnierzy. Pewnikiem wieść o onegdajszym zajęciu Warszawy dodała mu jeszcze pewności siebie. Na koniec przemówił:

„Niech pierwsi magnaci, cały stan rycerski, miast obywatele, łączą swe umysły i siły zgodnie ku obronie powszechnej. Zrządziła dla was cudem Opatrzność, iż nad wszelkie pojęcie prędkie osiągnąwszy zwycięstwo, zniszczyłem orężem moim potęgę pruską, a dalej ścigając nieprzyjaciela, znajduję się wśród was i chcę ogłosić w Warszawie waszą niepodległość”.

Ozwały się burzliwe oklaski. Imperator z dumnym czołem czekał ich końca, nadal częstując Polaków łaskawym uśmiechem.

„...chcę na nowo istność polityczną wrócić waszemu narodowi, ale zyskując na tej dla was dyspozycji, pokażcie się być godnymi zamysłów moich. Jeżeli w żyłach waszych płynie jeszcze krew dawnych mężnych Polaków, uzbrójcie się wszyscy, przedsięwzięcie ginąć lub wolnym być narodem... Los wasz jest dziś w ręku waszym, czekam, abyście mnie przekonali o męstwie swoim i odwadze. Niech widzę skutki waszego zapału. Na słowach, oświadczeniach nie przestaję. Niech widzę hufce i rotę wojska, godnego walczyć obok mojego żołnierza”.

Męczyłem się potem jeszcze długo w czas rozmowy cesarza z dygnitarzami, która przy władczym jego usposobieniu bynajmniej nie przebiegała tak swobodnie, jak by tego należało oczekiwać. Odetchnąłem nieco dopiero wtedy, kiedy nastąpiło spotkanie z damami.

Prezentowano mu je kolejno. Dopiero rozkwitnął Napoleon uśmiechem radosnym, lubo bynajmniej nie stronił od polityki, potrafiąc każdej z dam powiedzieć coś, co było komplementem, atoli jednocześnie aktualną aluzją.

I oto w gromadzie dam ujrzałem owe dwie – starszą i młodszą – którem przed południem widział w karecie na ulicy Wodnej. Sam generał Dąbrowski wiódł je, wysuwając przed inne, prosto ku cesarskiemu obliczu. Zbliżyłem się szybko w tę stronę i spojrzałem głęboko w oczy młodszej. Zwróciła na mnie uwagę i na oblicze jej wystąpił rumieniec. Uśmiechnąłem

się i ona odpowiedziała mi uśmiechem, aliści spłoniła się jeszcze bardziej.

Już jednak obie stały przed cesarzem, a Dąbrowski przedstawiał mu je jako żonę i córkę Józefa Wybickiego. Imperator na tę wiadomość ożywił się może jeszcze bardziej niżeli ja i oświadczył chwacko:

„Znając *monsieur* Wibiki nie wątpię w to, że musi mieć wspaniałą małżonkę. Szkoda, że nie mogę oświadczyć tego w jego przytomności”.

Estera Wybicka powiedziała usprawiedliwiająco:

„Mój mąż jest bardzo zajęty rozkazem Waszej Cesarskiej Mości i pilnie gotuje się w drogę do Warszawy”.

„Więc jeszcze nie wyjechał” – zawołał Napoleon i zwrócił się z kolei do córki, Teresy. „Pani ojciec nie spełnił jeszcze moich poleceń. Co pani na to, *madame*?”

Zagadnięta nie zawahała się nawet na moment i odparła rezolutnie, że ojciec jej trzusi się bez ustanku nad tym, by spełnić te polecenia.

To rzekłszy, rzuciła spojrzenie na mnie, napętlając mnie wewnętrznym ogniem.

Poszedłem znów bardzo późno spać – już nie wieczorem, jeno w nocy. Nie mogę rzec, by sen mój był snem szczęśliwego. Nie tylko dlatego, że córka Wybickiego miała już męża i musiałem wygasić swoje wobec niej afekty. Wiele dni musiało jeszcze upłynąć, wiele miesięcy, nim poszedłem za napoleońską gwiazdą i stałem się nie salonowym jeno, atoli prawdziwym żołnierzem. Aliści nigdy cesarz Francuzów nie doczekał się mojej pełnej wiary, nadziei i miłości.

A było tak bynajmniej nie z tej przyczyny, że dziad mój Kazimierz nie cierpiał Francuzów od momentu zdobycia Bastylii przez motłoch, a do Napoleona nie miał zaufania jako do tego, który jeszcze raz miał obalić panującą na polskich ziemiach władzę – wszystko jedno jaką, atoli władzę.

Nazajutrz około południa otrzymałem od Kazimierza Raczyńskiego list, w którym ten jeszcze raz przestrzegał mnie przed przyłączeniem się do wojsk napoleońskich:

„Nie masz na świecie nic gorszego niżeli przewroty. Nam w Polsce nie jest teraz koniec końców tak źle. W Prusiech Południowych żyje się przecie jako tako. Władze rosyjskie i austriackie też nie przeszkadzają mi czerpać z moich po wszystkich zaborach rozsianych majątności. Jestem lojalny

wobec cara, wobec cesarza austriackiego i wobec króla pruskiego, albowiem mniemam, że tak czyniąc, postępuję zgodnie z prawem bożym, nakazującym posłuch wobec władzy i że Bóg mi to policzy. A z języków ludzkich nie robię sobie nic.

Ponoć Francuzi maszerują już od strony Poznania prosto ku Warszawie i jeno trwożę się o to, by list ten nie zaginął w wojennej zawierusze. Atoli największa moja troska – to los wnuków moich. Oby wasz honor nie splamił się udziałem w wyprawach tego szaleńca, zamyślającego podbić cały świat”.

Czytałem ten list w wartowni. Na kominku płonął ogień. Sama okoliczność sprzyjała temu, jako żywo, bym słowa dziadka oddał na pastwę płomieni. Kiedy raptownym ruchem ręki rzuciłem zapisany arkusik papieru w tę stronę – płynął w powietrzu nierównym, jakoby konwulsyjnym lotem. Osiągnąwszy ogień, spłonął gwałtownie. Zdawało się, że mu pilno do nicości. Na krótki jeno moment błysnął jeszcze słabym, zamierającym płomykiem.

Znamienny był to początek mojej napoleońskiej kampanii. Znamienny i tym, że właściwie po raz pierwszy zainteresowałem się bliżej kobietą. To prawda, że i ona mną. Bo oto tegoż samego dnia – następnego dnia po przyjeździe Napoleona do Poznania – jeszcze raz spotkałem ją, tym razem w domu Mielżyńskich, dokąd poszedłem z meldunkiem jakowymś. Gdyśmy mijali się z nią w jednym z pokojów, zatrzymała się, jaśniejac cudnym uśmiechem. Serce moje urosło w jednym momencie, ale jakoby przestało bić, taki ucisk poczułem w piersi. Schyliłem się w głębokim ukłonie, z czcią ucałowałem podaną mi łaskawie rączkę. Nie odezwałem się ani słowem, czekając, co sama powie. Aliści ona zapytała jeno, czyli nie wiem przypadkiem, kiedy ojciec jej wróci.

„To łaskawa pani mnie o to pyta?” – zdziwiłem się.

„Pan tak blisko cesarza” – odrzekła. „Dowiedziałam się o waści wszystkiego. Waśc wszystko wiesz. A my, biedne, z mamą, nie wiemy nigdy niczego. Małżonek mój takiz sam jest...”

Nie mogłem zaspokoić jej ciekawości. Spojrzałem w jej oblicze z wyrzutem, że nie miała mi nic innego do powiedzenia. A na koniec „małżonek” rzekła, „małżonek”.

Mruknąłem coś w odpowiedzi, z pewnością niegrzecznie, i jeszcze raz skłoniwszy się do jej dłoni, poszedłem dalej. Pozostała we mnie tylko nieznośna myśl, że Teresa z Wybickich



jest mężatką i nawet nie wiem, czyją małżonką, ale wolałem tego nie wiedzieć, przeto się nie rozpytywałem.

Nie wiedziałem wtedy jeszcze tego, że niewiasta przeznaczona mi przez los na małżonkę jest także mężatką. Musiałem jednak długo jeszcze czekać na to, by została wdową.

Tymczasem jednakim niesmakiem zakończyło się we mnie i jedno, i drugie: i triumfalny pochód Napoleona, i pierwsze olśnienie niewiastą.

*Post scriptum:*

Widząc, com napisał, nie dam tego tekstu do Redakcji. Zbyt wiele tu wcisnęło się okoliczności nazbyt osobistych. Przeto pozostawię karty niniejsze w papierach swoich, a dla Redakcji napiszę może jeszcze coś bardziej zdatnego.

E. R.

**List do narzeczonej, Konstancji I voto Potockiej,  
zawierający relację z wycieczki do Winnej Góry, odbytej z  
dziadem Kazimierzem we wtorek, dnia 23 stycznia 1816  
roku**

Droga Moja Konstancjo, Pani mego serca!

Dawnom poczty do Cię nie stał, a przecież świadom tego, jako lubisz czytywać opowieści z minionych dni moich, takie, jakiem drzewiej do Ciebie stał był. Jesteś jedyną w moim życiu, tegoż życia mojego Panią, anim żadnej przedtem nie miał, ani w przyszłości mieć nie chcę, krom Ciebie. Pragnę, iżebyś zawsze była ze mną, a że to jednakowoż nie jest możliwym, pragnę, iżbyśmy choć myślami byli przy sobie. Przeto Ci zdam relację z mojej ekskursji, z dziadem Kazimierzem uczynionej, bom ją wątrową i nerwami przeżył. Nie samym zatem sentymentom ku Tobie pofolgować zamiaruję, lubo są one nader wielkie. Pragnę także dać upust temu, co się we mnie utrzęzło w czas owej ekskursji i osadziło na dnie serca. Spędziwszy z niego owe osady, łączniej miłość swą ku Tobie i klarowniej ukaże. Akurateśmy trzy godziny temu wrócili do domu i myśl moja ku Tobie obróciła się, tęskna i niecierpliwa. Kiedyż nareszcie złączyć się będziemy mogli? Onże dziad, póki życia jego, na mariaż z Tobą błogosławieństwa nie da.

A jakaż to była ekskursja?

To prawda, iżeśmy zjechali do Winnej Góry niespodzianie, bez zapowiedzenia się. Aliści żaden z nas nie tuszył, że będziemy mieć zamiary także, jak generał Józef Wybicki. Kiedy nasze sanie po całodziennej jeździe z Rogalina stanęły pod winnogórskim dworem – stary prawnik i bohater narodowy spacerował akuratnie po śniegu, okutany kozuchem, kuśtykając, z laską. Dziad Kazimierz – o ładnych parę lat starszy od niego – zwlekł łapawice, przetarł pokryte śronem brwi, przymknął na moment jeden oczy i na koniec otwarłszy je z powrotem, powiedział: „Wszelki duch Pana Boga chwali! Toż to ten zdrajca!”

Syknąłem ostrzegawczo, bo drzwi frontowe akuratnie się otwierały. Nie wątpiłem w to, że Wybicki tak samo osądza starostę jeneralnego, jako i on jego. Samem pielęgnował w sobie należyty respekt przed wojennymi zasługami jenerała, poety i prawnika, tego, co w tym momencie z najwyższym zainteresowaniem przybliżał się do naszych sań. Poprawiając sobolową czapę na głowie, by sobie odślonić widok na nas, wpadł prosto na wychodzącą dla rekonesansu i powitania gości panią Barbarę. Odzyskawszy utraconą w zderzeniu z nim równą wagę, Dąbrowska zakrzyknęła na służbę. Wywiązało się całe zamieszanie, bo i ja stałem już na stopniach i stróż podbiegał z parku, i psy otoczyły ludzi. Wszystko rozplątało się dopiero w obszernej sieni, gdzieśmy koniec końców poczęli się nawzajem i na dobre poznawać i pojmować, o co chodzi.

Pani Barbara Dąbrowska – młoda, wspaniała, promieniejąca gościnnym uśmiechem – posługiwała nam przy rozwlekaniu się z podróżnych szub i nie przestawała mówić:

„Mąż mój, darujcie panowie, wyjechał w sąsiedztwo, atoli wróci jutro około południa. Czy panowie przenocujecie? Serdecznie prosimy! Pan generał Wybicki także jeszcze zabawi u nas do pojutra, nieprawdaż, panie jenerale? Tuszę, że jutro wyjdziecie waszmoście ustrzelić sobie coś w lesie lubo na polu, zaśię wieczorem urządzimy sobie wspaniałe spotkanie, prawda, panie Edwardzie?”

Wybicki, już w surducie, stał przy płonącym kominku i grzał się jego żarem, obrócony doń plecami. Zaraz jednakowoż musiał opuścić błogie źródło ciepła, bo pani Barbara prowadziła nas do bawialni, dokąd rozkazała przynieść grzanego wina, byśmy pokrzepili się, zanim przygotują wieczerzę.

Służące wносиły duże, złożone kandelabry i w ich świetle dobitniej uwydatniała się uroda gospodyni – jeszcze wspanialszej niżeli pierwej, jeszcze kształtniejszej po urodzeniu dziecka, co przed czterema miesiącami przyszło na świat. Była obleczona w ciemną suknię, zapiętą wysoko pod szyję, wciętą w pasie według ostatniej mody, nakazującej ścisnąć talię gorsetem. No i zgodnie z najnowszą modą nosiła czarne, długie włosy, całkiem rozpuszczone. Jako żywo, gdybym w ostatnich czasach nie poznał Ciebie, Droga Konstancjo, któraś tak głęboko zapadła w serce moje – byłbym być może zadurzył się w ślicznej jenerałowej. Atoli słowa te moje to jeno żart gwoli rozweselenia Miłej Mojej Pani.

Grzane wino czerwone, wypite na czcze żołądki, łącno rozwiązywało języki. Wybicki począł wspominać czasy napoleońskie, dziad Kazimierz czasy najjaśniejszego Stanisława Augusta króla. Obaj wyraźnie unikali najświeższych okoliczności, zwłaszcza związanych z postanowieniami kongresu wiedeńskiego. Kiedym jeno wtrącił coś o tym – pogawędka zaczęła rwać się. Koniec końców stanęło na tym, że starcy gawędzili sami, podczas gdy ja z panią Barbarą zabawiałem się wspomnieniami naszych spotkań z okresu dzieciństwa.

Aliści stało się na koniec to, co pewnikiem musiało się między tymi dwoma mężami przytrafić. Dziad powiedział w jakowymś momencie:

„A wszystkie te wojaczki z Napoleonem okazały się diabła warte. Ja broniłem i Edwardowi, i Atanazemu służby w napoleońskich wojskach, Edward poszedł sam, wbrew mej woli. Nic, jeno szkoda dla narodu wynikła z tego wszystkiego”.

Szlachetne oblicze Wybickiego raptem załała krew. Ja, słysząc niebezpieczne, zapalne słowa dziadka, przerwałem rozmowę z gospodynią i czekałem, co będzie dalej. Autor *Mazurka Dąbrowskiego* wsparł ręce o stół, podniósł się, wyprostował i krzyknął:

„Co?! Co też pan starosta prawisz!?”

„Toć prawię – spokojnie odpowiadał nagabnięty – że Napoleon to nie było nic dobrego”.

Współtwórca Legionów sprężył się jak do skoku. Krew nie odpływała z jego oblicza. Już po prawdzie nie krzyczał, atoli mówił głośno i dobitnie:

„Tak? A kto po ustanowieniu Księstwa Warszawskiego przyjechał do Warszawy podlizywać się nowej władzy, nie przepuszczając, że w odpowiedzi dostanie szcztka w nos?”

Mój dziad roześmiał się dobrodusznie, wybacząco. Kiwał głową z wyrazem politowania.

„Toż wyniosłem się z Warszawy do swych majątności pod austriackim zaborem, kiedy się zbliżały napoleońskie woj-ska!” – odparł.

Wybicki na to, zażywszy z tabakierki, bo niepokój widać już było po nim:

„A po ustanowieniu Księstwa Warszawskiego kto pierwszy pośpieszył do Warszawy, żeby być przytomnym składaniu przysięgi wierności Fryderykowi Augustowi przez obu wnuków?”

Stary prawnik wiedział, co mówił – miał skrupulatną pamięć. Kto jak kto, aliści ja znałem te wydarzenia tako dobre, jako i on. Nic dziwnego, że dziad załamał się, zbladł, atoli próbował jeszcze trzymać fason.

„Księciu warszawskiemu, władzy prawowitej, nie dyshonor przysięgę składać” – dukał już nieco niezręcznie. „Waszmość też to czyniłeś, jenerale. Atoli Napoleon...”

Nie dokończył zdania, bo mu adwersarz wpadł w słowa.

„Do imperatora takż byś się waść pchał był, gdyby nie policzek, jaki ci wymierzono”.

„Policzek!? Mnie?!”

„Marszałek Davoust tak się tobą, starosto jeneralny, brzydził...”

„Brzydził!?” – krzyknął dziad resztką sił.

„...że nakazał ci natychmiast opuścić stolicę”.

„No i opuściłem. Niepotrzebny mi taki...”

„Nie! Pierwej kazał poddać cię rewizji, a zasię przez dwóch żołnierzy odstawić do granicy”.

Dziad zamilkł i spuścił głowę. Całe jego oblicze drgało pośród nastroszonych bokobrodów i wąsów. Zagryzł wargi i milczał przez dłuższy moment. Aż spojrzawszy na atakującego, wybuchnął:

„No i widzisz, waćpan! Tacy byli ci pańscy Francuzi!”

„I Polak wyrzuciłby takiego jak waszmość, jeneralny starosto! Miałeś waść szczęście witać rozmaite, przychodzące po sobie władze. Atoli nieszczęście to spotykało nas wszystkich. Waść miałeś jednakowoż nieszczęście ekstraordynaryjne, większe jeszcze niżeli insi: służyć każdej władzy najposłuszniej i najgorliwiej. Jażem tak nie czynił. Insi Polacy takż nie”.

„Służyłem zawsze jeno ojczyźnie!” – krzyknął dziad tonem

pełnym desperacji, ukrywanej za dobytym na oblicze animuszem.

„Byłeś waszmość pierwiej wierny królowi polskiemu, Stanisławowi Poniatowskiemu. Potem brałeś półtora tysiąca dukatów rocznie od carycy Katarzyny...”

„Brać należną pensję nie znaczy nic!”

„Znaczy. Wszyscy uważali cię, panie jeneralny starosto, za zdrajcę! A waszmości nie przeszkadzało to pozostawać tym starostą jeneralnym Wielkopolski, nie zaprzestając zasiadania w Radzie Nieustającej i trzymania urzędu marszałka nadwornego koronnego. A w czas Sejmu Czteroletniego szukać oparcia w Prusach. A znowuż po uchwaleniu trzociomajowej Konstytucji, w departamencie policji przydować. Aliści kiedy wybuchło w Warszawie powstanie, uciekłeś waść pod opiekę Rosji!”

„Ja!?”

„Pierwej jednak jeszcze, po drugim rozbiornie, stawszy się z wielką częścią swych majątności poddanym króla pruskiego, pośpieszyłeś do Berlina, żeby złożyć hołd nowemu władcy swojemu”.

„Každy składa hołd swemu władcy” – jęknął mój dziadek.

„Tak, zwłaszcza waszmość, panie starosto! Mając dobra w trzech zaborach, kłaniałeś się jak najniżej wszystkim trzem monarchom! W tym rzecz! Tym sposobem stałeś się waść...”.

„Kim?!” – nasrożył się dziad jeszcze raz. „Lubo jakim!?”

Barbara Dąbrowska wkroczyła pomiędzy starców. Składała ręce to w jedną, to w drugą stronę, niczym do modłów, wołając:

„Panowie, komuż potrzebny wasz gniew? Jeno wrogom!”

Jam niestety nie mógł pomóc. Bronić przodka w jego przytomności – uwłaczałoby mu. Występować przeciwko człowiekowi pełnemu historycznych zasług, jakim był Wybicki – na to byłem za młody. Niewieście wolno było w tej to sytuacji o wiele więcej.

Cóż jednakże mogła? Kazimierz Raczyński nie chciał pogodzić się z poniesioną w słownej potrzebie z Wybickim klęską. Stał przed Dąbrowską, oddzielając go od adwersarza i raz po raz daremnie zrywając się do skoku, przeżuwał swą niemoc i swój wstyd.

Koniec końców, akuratnie w momencie, kiedy pani Barbara mgnieniami oka i gestami rąk zwracała się do mnie z prośbą,

bym ujął pod ramię jednego starca, podczas gdy ona uczyni to samo z drugim i tym sposobem przejdziemy do jadalni na wieczerzę – mój dziad ruszył ku adwersarzowi z gwałtowną kontrą. Wrzeszczał na cały głos:

„A waćpan, co mnie zdracą mienisz, to co? Czy nie car Aleksander osłaniał waćpana przed władzą pruską, kiedy ta skonfiskowała Manieczki? A zasię z prezesem Zerbonim po utworzeniu Księstwa Poznańskiego kto się zmawiał, kto królów pruskim uroczyście przysięgał? A w ceremonii zdjęcia orłów polskich z poznańskiego ratusza i zawieszenia czarnych orłów pruskich kto brał udział? A krótko po tym kto kajał się znów przed carem? Kto został carskim senatorem? A w Zdradzieckiej Radzie Stanu kto zasiada? I kto łasi się do carskich czynowników o prezesurę Sądu Najwyższego w Królestwie? He?! Możeż to ja?”

Józef Wybicki stał oniemiały, nie spodziewał się takiej pełnej furii napaści ze strony tego, którego poniżył całą litanią oskarżeń. Atakujący daremnie wyczekiwał reakcji. Czekali obaj, co nastąpi dalej, tak jakoby ten ciąg dalszy zależał już teraz od postronnych okoliczności, a nie od nich samych. Atoli w czekaniu tym opadała z nich stopniowo gorączka zaciekłości. Po jakowymś czasie doszło do tego, że stali naprzeciwko siebie jakby sparaliżowani, jakby zdumieni tym, co się przydarzyło.

Z owego momentu skorzystała pani Barbara. Już na mnie nie zwracając uwagi, weszła pomiędzy obu, ujęła ich pod ręce i poczęła wieść ku szerokim drzwiom. Widać ktoś ze służby spostrzegł, co się święci, bo drzwi jakoby same otwarły się powoli przed tym pochodem i ukazał się za nimi długi stół, nakryty do wieczerzy.

O dziwo, starcy szli ku temu stołowi w karnym milczeniu, w solennej ciszy. Kiedy już mieli przekroczyć próg, tedy Wybicki wyrwał pani Barbarze swe ramię, odwrócił się do mnie i powiedział, iż brać udział w rządzie Królestwa Polskiego nie jest rzeczą hańbiącą, jest obowiązkiem, bo gdzie nie stanie Polaków, tam wejdą zaborcy.

To rzekłszy, tabakierę przede nos mi podsunął i nawet nie czekając, czy tabaki weźmę, sam się nią poczęstował.

Czemuż skierował to wyjaśnienie do mnie? Pewnikiem nie zamierował już więcej rozmawiać z moim dziadkiem, a owo oświadczenie złożyć pragnął jednakowoż w jego obecności. Wyrzekłszy ostatnie słowo, kichnął donośnie, zaczęł wytar-

szy nos ogromną chustą, z powrotem podał ramię gospodyni i poszedł z nią dalej.

Obszerna jadalnia miała cudnie rzeźbione stropy, grające niezliczonymi barwami w blasku świec. Poza długim stołem i wysokimi krzesłami nie znajdowało się w pomieszczeniu tym nic więcej. Jeno z wiszących na ścianach portretów spozierali na biesiadników nie znani mi antenaci gospodarzy.

Kiedy idąca przede mną trójca wkroczyła do wnętrza jadalni, dziad mój i Wybicki stanęli jak wryci – tak raptownie, że aż prowadząca ich dama potknęła się i wysunawszy się całą sobą do przodu, utraciła równą wagę. Ja w tym samym momencie stanąłem akuratnie w progu i ujrzałem to, co sparaliżowało obu starców. Oto u szczytu stołu siedział w owym galowym mundurze jeneralskim sam Henryk Dąbrowski. Kiedy spojrzałem nań, począł podnosić się z miejsca i ruszył naprzeciw nam.

Szedł powolnym, dostojnym, atoli sprężystym, żołnierskim krokiem. Pragnął być może zaznaczyć, że jeszcze nie jest taki stary, że pasuje do swej młodej żonki, na którą bez przerwy zerkał. Prężył swą pierś, zdobną w jeden jeno, wybrany z wielu order i unosił barki, ciężkie brzemieniem dystynkcji. Nie miał brody ni wąsów, jeno puszyste, ciemne jeszcze włosy rozpełzały baczkami, jakoby mu jeszcze odejmując lat.

Pani Barbara postąpiła ku niemu, rozłożyła ręce jako do powitania i okazała radość, iż jej małżonek wrócił jednakowoż na wieczerzę.

„Wiesz, duszko, że w odległoszcy paru wiorst nie kocham nocowacz w cudzym łóżku” – odparł. „A służba wypełniła moje polecenie, dajonc mi znak, przybyły serdecznie goszcze” – mówił dalej z twardym akcentem, przypominającym wciąż jeszcze niemieckie wychowanie i saksońską służbę.

Na te słowa Józef Wybicki odstepił na bok, my natomiast z dziadem wysunęliśmy się przed oblicze gospodarza. Dziad mój począł mówić tubalnym głosem:

„Nie zamiarowałem ci, jenerale, czynić turbacji w same imieniny, bo tu gości. zjechało się pewnikiem co niemiara. Oczekałem jeszcze niedzieli i poniedziałku...”

„Całkiem tak samo, jak mój stary druh, Józef” – odparł Dąbrowski. „Przyjechał dopiero wczoraj. Witajcze! Nie szkodzi mi ta systema, takim bowiem sposobem imieniny na całym oktawę szę rozczągajom. Postrzelamy sobie społem o świcie na śniegu, ot co”.

Składaliśmy teraz jenerałowi życzenia: przodek mój kor-

dialnie, z uściskami, a ja statecznie, pokornie, więcej ukazując uszanowania aniżeli czułości. Kiedy ceremoniał ów dobiegł końca, gospodarz dostojnym ruchem ramienia zaprosił wszystkich do stołu, ruchliwa zaś gospodyni wskazywała miejsca do siadania.

Widno nie tylko my jeno byliśmy wygłodzeni, bo wszyscy posilali się z jednakowym apetytem. Wina jeno niewiele już się piło. Ja wargami dotykałem krajów kieliszka, zostałem bowiem wychowany we wstrzemięźliwości i nie przepadam za trunkami, o czym, Konstancjo Droga, dobrze wiesz, lubo nie poprzysięgałem sobie całkowitej abstynencji.

Wieczera przebiegała prawie w milczeniu, wymieniano pojedyncze wyrazy i zdania. Pani Barbara przenosiła wejrzenie swe z jednego gościa na drugiego, częstując ich miłymi uśmiechami, rada na pewno, że stan wojenny szczęśliwie minął. Jenerał Dąbrowski darzył nas życzliwymi słowy, potakująco kiwając głową, ale na ogół niewiele mówiąc. Domyślałem się łącno, że trzyma język na wodzy, czując, co w trawie piszczy. Wybicki siedział jak mruk i po minie jego począłem miarkować, że musiał już pierwej być w potrzebie słownej z gospodarzem, który zapewne od niego uciekł, pozostawiając gościa samego i zmuszając go do salwowania się spacerem po śniegu. Dziad mój chyba tego wszystkiego nie pojmował, a może i na śmierć już zapomniał o niedawnej swej sprzeczce ze starym prawnikiem, bo minę miał pełną zadowolenia i wbrew surowym obyczajom swym raczył się winem, tak iż humor jego poprawiał się z minuty na minutę. Nie śmiałem zwracać mu na to uwagi.

Najgorsze – jako żywo, Konstancjo! – zaczęło się pod koniec wieczery, po wniesieniu przez służbę ciast i samowaru. Kiedy tę tuską machinę dymiącą postawiono tu w Winnej Górze na stole, dziad Kazimierz Raczyński – niczego zdrowszego pewnikiem nie mając na myśli – powiedział dobrodusznym tonem: „Ot, ruska nowość, i do nas przyszła”.

Wybicki drgnął i kichnął, tą razą po cichu. Atoli spojrzawszy ukosem na gospodarza, jakby zamiarował uzyskać zgodę na powiedzenie czegoś, spuścił głowę i utął się. Dopiero kiedy upłynęła minuta jaka – nie mogąc widno zdzierżyć – rzucił zaczepnie:

„Już pewnikiem pan starosta jeneralny z przyczyny owego samowaru znowu od zdrajców zaczniesz”.

Zagadnięty uśmiechnął się jeno z wyrozumiałością i spoj-



rzawszy na Henryka Dąbrowskiego, mrugnął doń jednym okiem. Ten spojrzeniem swym przeszył prowokatora i zapowiedział bezceremonialnie:

„Józefie, tą razą nie ja pójdę sobie z tego domu, kiedy nie będę mógł zdzierżyć szedzenia pospółu z tobom, bo mi, duszko, rogalińscy goszcze tak samo mili jako ty i nie zezwolę, by ich tu znieważano”.

Wybicki, zadumawszy się, spuścił oczy jako skarczone dziecko i odrzekł z pretensją:

„Nigdy nie pojmuję, Henryczku, czego ode mnie chcesz”.

Aliści po chwili milczenia Wybicki znów rozgadał się na dobre. Nie bacząc na zniechęcającą minę swego interlokutora, ciągnął:

„Dawniej rozumieliśmy się tak znamienicie. Azali nie pomnisz, jakeśmy się poznali w dziewięćdziesiątym czwartym, kiedym to w departamencie wojskowym utworzył sąd? Jak cię sądzono za to, iżeś śpiesząc do powstania zdobył rosyjską kasę razem z konwojem? Sądzono cię za to, miasto pochwalić. Pomnisz, jako cię broniłem na rozprawie i ogłosiłem uniewinniający werdykt?”

„Bom też był niewinny” – westchnął Dąbrowski z niecierpliwością.

„Niech ci tak będzie, atoli przyznaj, iżeśmy zawsze pozostawali w prawdziwej przyjaźni i rozumieli się jako bracia”.

„Tak było” – odpowiedział Dąbrowski. „I czyń, by tak zostało”.

„Ale pewnikiem jużes zapomniał – dodał Wybicki – jakem w Paryżu wyprorokował ci, wtedy kiedy nam Polskę już na amen rozebrali, że będziesz wodzem Legionów przy italskiej armii generała Bonapartego?”

„Tak było” – niechętnie znów mruknął Dąbrowski.

„On go rozjuszy” – szepnął mi do ucha dziad Kazimierz. „Powiedz na koniec coś ty, bo generał i na mnie by się rozeźlił, a już nadto mam owych gniewów, wywoływanych przez tego starego zdrajcę”.

Nie wyobrażałem sobie, jako żywo, Konstancjo, jak mógłbym wystąpić jako obrońca pokoju w tym małym towarzystwie, napęczniałym animozjami jako prochem. Rozejrzawszy się dookoła, dostrzegłem, że pani Barbary nie było między nami – musiała wyjść niespostrzeżenie, kiedyśmy przechodzili do bawialni.

Cóżem mógł tedy uczynić, Droga Konstancjo? Dąbrowski

wyraźnie dąsał się w odpowiedzi na wspominki dawnego przyjaciela, którego pewnikiem dawno przestał kochać. „Może byłoby dobrze – myślałem sobie – jedne wspominki wyprzeć drugimi, jedną zadrą wyprzeć drugą zadrę?”

Wybicki mówił znów, nie odstępując swej ofiary:

„Aliści i ja tobie dużo zawdzięczam, Henryczku. Pamiętam, w Legionach nie zawsze działo się najlepiej, trzeba było nie raz podnosić żołnierskiego ducha. Pragnąłem czynić to, próbowałem, ale nie bardzo mi się to udawało. Aż oto owego dnia, kiedyś wyjeżdżał z Mediolanu, a miasto zegnało cię uroczystie, odbyła się defilada, która mnie samego na duchu podniosła. I akurat krótko potem napisałem ową tak znaną dziś pieśń o tobie. Śpiewali ją żołnierze z takim przejęciem, aże dusza rosta”.

Wybicki rozczulił się, aże oczy mankiem przecierać począł. Dąbrowski, nie mogąc czy nie chcąc gniewem reagować na łzy przyjaciela, minę czynił jeno znudzoną. Kto wie, co mogło jeszcze przydarzyć się w społeczności tych starców, rozpękających jako orzechy wspomnieniami życia tak obfitego w wydarzenia, a tak pogmatwanego.

Sama przyznasz, Droga Konstancjo, że winienem był wtenczas ratować sytuację. Musiałem to uczynić, zanim uprzedziłby mnie trzeci starzec – mój dziad – ten najwięcej lat dźwigający na swych barkach i nieco już dziecinniejący. Postanowiłem wspomnieć Napoleona, wiedząc, że sposób, w jaki to uczynię, wywoła gniew generała. Atoli gniew ten, ku mnie skierowany, przyćmi tę burzę – myślałem sobie – co gotowała się przeciwko Wybickiemu. Wydawało mi się to sprytną i skuteczną metodą.

Zbliżyłem się do tamtych dwóch i zwróciłem się do Dąbrowskiego takimi oto słowy:

„Jakież lube i chlubne wspomnienia ogarniają ludzi po latach wspaniałego żywota. A przecie i ja, choć niemal obcy wielmożnemu panu generałowi, pamiętam go dobrze z czasu napoleońskiej wojny”.

Na obliczu zagadniętego odmalował się jakby grymas zniecierpliwienia, atoli rzekł zaraz spokojnie:

„Przecie służyłeś waść w armii. Wiem o tym dobrze”.

„I stykałem się parę razy bezpośrednio z wielmożnym panem generałem” – odrzekłem. „A zawsze ceniłem sobie waszmości wyżej aniżeli innych dowódców”.

„Czyżby?” – zdziwił się generał.

„A nawet wyżej niżeli samego Napoleona” – dokończyłem.

„Słusznie! Słusznie!” – cieszył się dziad Kazimierz, klaszcząc w ręce.

Czułem, Droga Konstancjo, że jestem na dobrej drodze do zażegnania niebezpieczeństwa, ciągnąłem przeto dalej:

„Krótco przed bitwą pod Frydlandem, w Prusiech Wschodnich, wysłałeś mnie pan, wielmożny jenerale, z depeszą do imperatora. Stałem wówczas przed Napoleonem twarzą w twarz. Rozmawiał ze mną co prawda przyjaźnie, atoli wrażenia na mnie dobrego nie wywarł”.

„A to czemuż?” – zapytał Dąbrowski.

„Wypytywał mnie o szczegóły, dotyczące siły i położenia wojsk rosyjskich. Zżymał się, kiedym nie mógł przekazać mu szczegółów, dostępnych jeno sztabowi, których młody oficer nie powinien znać. Dałem mu to do zrozumienia, atoli wtedy nachmurzył się jeszcze bardziej. Wybaczysz pan, wielmożny panie jenerale, kiedy rzekę szczerze, iżem od cesarza wychodził z niezbyt przyjaznymi dlań afektami”.

Jenerał zamyślił się i nie dostrzegł tego, że Wybicki, dawszy upust czułościom – nalewał wino do kieliszków, jakoby całkiem uspokojony. Wpatrzył się w któryś z wiszących na ścianie portretów i kiwając głową, powiedział:

„Nie bendem dzisz nic prawił o Napoleonie. Rzekę jednakowoż, że ten mąż obudził wielkie nadzieje w Polakach, poruszył cały naród, i to było dobre, lubo nie wskrzeszyło nam ojczyzny w dawnej postaci. Snadno dzisz gadacz o nim źle, kiedy siedzi zesłany na wyspę i nie może szę bronicz. Lepiej szę przeto powstrzymacz od sądów, osądzi go Bóg. Póki żyje, to kto wie, co jeszcze zdziałać może?”

Wybicki pociągnął nas do nalanych kieliszków i wznioł toast:

„Za zdrowie Bonapartego, panowie, za jego wolność i rację! Ja nie dam nań powiedzieć złego słowa!”

Podnieśliśmy kieliszki. Dziad czynił to także, aliści z rozmysłem, drugą ręką nerwowo szarpiąc wąs. Dobył z siebie na koniec coś, jakoby usprawiedliwienie, pozwalające mu spełnić toast:

„Niechaj sobie tam będzie zdrowy, póki na Wyspie Świętej Helény siedzi. Kiedy by miał atoli wyjść...”

„To co?” – wybuchnął Wybicki. Sięgnął po tabakierkę, aliści jeno nią obracał w trzęsących się palcach.

Dąbrowski rzekł nagle tonem rozkazującym, wojskowym, nie znoszącym sprzeciwu:

„Na zdrowie! Jak na zdrowie, to na zdrowie! I więcej nic!”

Zacietrzewieni starcy posłusznie zbliżyli kieliszki do warg, a opróżniwszy je, energicznie odstawili na stół. Atoli stary prawnik kręcił się niespokojnie. A widząc moment sposobny – bo nikt inszy akuratnie się nie odzywał – powtórzył swe poprzednie pytanie:

„To co, starosto jeneralny? Kiedy by Napoleon wrócił z wyspy, no to co?”

Pozostali spojrzeli nań pytająco. Jako żywo, wyglądało to złowieszczo. Aliści on posunął się jeszcze dalej:

„No więc kiedy by Napoleon Bonaparte wyszedł na wolność, odzyskał władzę i wszcząwszy wojnę z naszymi zaborcami zezwolił organizować polskie wojsko, to pan starosta poparłbyś, czyli nie? Wnukom zezwolił bić się, czyli nie?”

Mój dziad ożywił się raptem, nerwowo spoglądając na adwersarza. Jań myślał, że uda mi się jeszcze uratować pokój, przeto prędko wtrąciłem, że ja przecież dziadka o zezwolenie prosić nie muszę.

Konstancjo, jakżeż się omyliłem! Liczyłem na to, że w zacnym towarzystwie z takiego oświadczenia nie może nic złego wyniknąć. Tymczasem dziad teraz dopiero rozgniewał się. Podniósł ramiona w górę, jakoby wzywał pomsty niebios, i począł wrzeszczeć:

„Nie poparłbym! Nie zezwoliłbym wnukom! Nie chcę żadnej więcej wojny! Pokój nam jest potrzebny, a nie rozruchy! Czyliż nam się źle dzieje?”

Wybicki wystrzelił ręką ku niemu, wskazujący palec wbijał prosto w jego oczy. Krzyknął triumfalnie: „Zdrajca!! Zdrajca!!” i opadł z sił. Zamknąwszy powieki, bezsilnie osunął się w fotel.

Dopiero wtedy powtórnie wystąpił Henryk Dąbrowski. Wystąpił zaś z takową energią, jaką zapewne wykazać może jeno wielki wódz. Wpadł pomiędzy obu zwaśnionych i jakoby wydając rozkazy, krzyczał:

„Obaście, panowie, zdrajcy! Dość tego! Więcej z wami, panowie, rozmawiać nie będę! A jeżeli mi który sekundantów przyśle, to i stanę na udeptanej ziemi! Żegnam was, panowie!”

Wyrzuciwszy to z siebie odwrócił się żołnierskim ruchem i marszowym krokiem ruszył ku drzwiom. Rozwarł je energicznie, a przekroczywszy próg, zatrzasnął za sobą.

Adwersarze spojrzeli po sobie z nie tajoną nienawiścią, Wybicki zgarbił się, postarzał w jednym momencie. Dość długo wpatrywał się w drzwi, przez które wyszedł jego najlepszy przyjaciel. Potem bez słowa skierował się w stronę drugich drzwi i zniknął za nimi.

Dopiero wtedy pojawiła się pani Barbara Dąbrowska. Załamała ręce i biadała:

„Coście narobili dobrego, panowie!? Coście narobili!? Ot, dobrała się socjeta! Bardzo pana przepraszam, panie jeneralny starosto, atoli...”

„Nie szkodzi” – powiedział dziad. „Niech waćpani będzie spokojna. Nie będę przecie pojedynekował się z jenerałem Dąbrowskim, boby mnie ludzie głupim okrzyknęli. Henryk Dąbrowski to przecie skarb narodowy, relikwia walk narodowych, omal pomnik za życia”.

Pani Barbara uspokojona zapraszała do gościnnych pokojów.

Dziad mój dumnie podniósł czoło, pokręcił głową przecząco i powiedział:

„Nic tu po mnie. Ja nie Wybicki. Czuję się wyrzucony za drzwi tego domu. Raczy pani łaskawie zarządzić, żeby moje konie przygotowano do drogi”.

„Ależ panie starosto, toć już noc niemal! Ciemno, choć oko wykol, drogi śniegiem zasypane, wieczorem dąć poczęło. Przez zasy py nocą przepychać się, to rzecz niebezpieczna” – przekonywała go pani Barbara.

„A jednak jedziemy, pani łaskawa wybaczy. Nie mam za złe wielkiemu jenerałowi, aliści nas wyprosił... wyrzucił” – wzburzony odparł mój dziad.

„Ja osobiście takż o nic żalu żywić nie mogę, atoli mego dziada nazwano tu zdrajcą – powiedziałem. „A lubo uczynił to jenerał Dąbrowski...”

„Ależ on tak nie myślał! To pan Wybicki od samego rana w desperację go wprowadzał, zasię posprzeczałiście się panowie” – jeszcze próbowała oponować jenerałowa.

„Raczy pani wydać zarządzenia” – powtórzył dziad z uporem. „Nie żywię urazy do pani, jeżeli zaś chodzi o jenerała...”

Pani Barbara koniec końców ustąpiła. Kiedy pozostawiła nas samych – padliśmy w fotele. Byłem i ja utrudzony tymi kłótniami, lubo nie brałem w nich czynnego udziału.

Gospodyni żegnała nas, zasmucona, kiedyśmy oblekali się,

a zasię wychodzili do sań. Łacno to sobie, Droga Konstancjo, możesz wystawić, co czuła w tym momencie.

Wieczór już zapadł, kiedy wyjechaliśmy. Przez biel chmur przeriezał księżyc i pobielony śniegiem świat leżał w jego blaskach jasny, spokojny. Wydostaliśmy się z parku, zasię z rozjeżdżonych kolein, jakie pomimo zawiei widać było jeszcze między chłopskimi chałupami. Na polu droga poczęła ginać, zaspys jednakowoż były niestraszne, a w powietrzu wisiała mroźna cisza, jakby szklanna, przezroczysta, nie zapowiadająca niczego złego. Pomimo to – kiedyśmy zbliżali się do pierwszego krzyża, przy którym droga rozwidłała się – dziad nakazał stangretowi, by zjechał w lewo, w stronę Nietrzanowa.

„Nie wrócimy do Rogalina?” – zapytałem.

„Musielibyśmy przez całą noc brnąć w śniegu” – odpowiedział. „Muszę sobie przekalkulować, gdzie przenocujemy. Trzeba w dzisiejszych czasach przebierać w ludziach jako w gruszkach. Sameś widział, do czegoż to prowadzą na starość kontakta z dawnymi druhami. Nawet ze strzelbami na łowy nie wyszliśmy”.

Jako żywo, nie mówił prawdy, bo przecie musiał dokonać już jakowegoś wyboru, każąc zjeżdżać na Nietrzanowo. Nie dopytywałem jednakowoż dalej, było mi na ostatek wszystko jedno.

Milczeliśmy teraz uparcie. Byłem rad z ujrzenia wielkich wodzów i bojowników o niepodległość Polski, lubo Wybicki doprawdy stał się na starość nazbyt uległy i posłuszny zaborcom. Myślałem, że z tych trzech starych mężów jedynie Henryk Dąbrowski zeszedł ze sceny politycznej z podniesionym czołem. Kiedy w czerwcu minionego roku podano wojsku wiadomość o utworzeniu Królestwa Polskiego pod berłem cara oraz o liście króla saskiego, Fryderyka, który jako były książę warszawski zwalniał je od przysięgi – jenerał był członkiem Komitetu Wojskowego. Położenie komitetu tego stawało się coraz to cięższe, bo po przysiędze złożonej przez armię Aleksandrowi jako królowi polskiemu, carewicz Konstanty stał się naczelnym dowódcą. Wszelkie przeciwstawianie się takowemu stanowi rzeczy mogło prowadzić jeno przed sąd wojenny i wobec tego Dąbrowski uznał, że dla niego, zwolennika związku Polski z Zachodem, nie stało już miejsca. Mia nowano go jeszcze jenerałem kawalerii, obdarzono tytułem wojewody-senatora. Car odznaczył go Orderem Orła Białego.

Bohater przyjmował to wszystko ze stoickim spokojem. Na koniec poprosił o zezwolenie na zamieszkanie w Winnej Górze. Pobyt starego wojaka poza granicą Królestwa, mający charakter dymisji, wydał się pewnikiem Konstantemu dogodny, przeto wystarał się o zgodę. Od tych pór generał siedział w swym majątku, porządkował papiery i insze pamiątki swego bogatego żywota.

Może rzekę to w obronie mego dziada, czemu się dziwić, Konstancjo, nie powinnaś, aliści byt tej generacji nie był łatwy. Dzisiejsi starcy wyrosli w chylącej się do upadku Rzeczypospolitej, pod berłem Stanisława Augusta. Działo się wówczas tak wiele. Zrywy ku podniesieniu ojczyzny i ku obronie jej wolności. Trzy rozbiory. Powstanie kościuszkowskie. Walki Legionów Polskich. Wojny napoleońskie. Kongres w Wiedniu. Cóż się nie działo w samym jeno zaborze pruskim! Pierwej Prusy Południowe. Zasię powrót do stanu wojennego, Księstwo Warszawskie, które rychło uległo likwidacji, by na koniec Wielkopolska weszła do korony pruskiej jako Księstwo Poznańskie. Przypominam Ci, Konstancjo, te sprawy Ci znane, byś wyraziście ujrziała, jak to nad dziadem moim, który miał posiadłości we wszystkich zaborach, stawały coraz to nowe władze. A wychowany w duchu dyscypliny i lojalności nie tylko stał się trójlojalistą, jak go powszechnie bez ogródek nazywano, albowiem był lojalny i wobec wszystkich władz przejściowych. Marny, trudny żywot. To przecie epoka ukształtowała dziada jako tego, którego co poniektórzy zowią zdrajcą. Daruj, Konstancjo Miła, aże trudno mi o tym pisać.

Dziad zbudził się z drzemki, w jaką zapadł w saniach. Kiedy te nazbyt mocno podskoczyły, zahaczywszy o jakiś ukryty w śniegu kamień – przetarł oczy, rozejrzał się i spytał, gdzie jesteśmy.

„Do Nietrzanowa jeszcze daleko, jaśnie panie” – wyjaśnił stangret. „Nie oddalili my się bardzo od Winnej Góry”.

„Do Nietrzanowa?” – zapytał nerwowo Kazimierz Raczyński.

„Tak dziadek kazał jechać” – wtrąciłem.

Wychylił się i zawołał do stangreta:

„Jak zajedziemy do Nietrzanowa, to trzymaj się drogi do Środy, a stamtąd pojedziemy prosto na Rogalin, przez Kórnik”.

Westchnął, otulił się kożuchem, zasię milczał. Odezwał się

znów dopiero, kiedy na horyzoncie zamajaczyła wieża kościelna, a pod nią zaznaczyły się domy.

„Już snadniej nie oglądać ludzi. Każdy mi coś ma za złe. A ja nie lubię jeno jednego – bezhołowia. Bez ładu i składu, bez władzy, wszystko jedno jakiej, naród nie może egzystować. Azaliż to słabość królów polskich nie zgubiła kraju naszego? U nas każdy wciąż jeszcze ma prawo do korony”.

Roześmiałem się.

„Nie śmieć się” – powiedział dziad. „Pewien Polak, przednio grający na cytrze, bawił w Moskwie, na dworze carowej Elżbiety. Tam dowiedział się, że w Polsce zmarł król, przeto zaczął zbierać się w podróż do Warszawy. Pytają go: «A po co tam pojedziesz?» – «Oto – rzecze – jestem szlachcic polski, a zatem mam prawo do korony i mogę być obranym». – «A gdy pojedziesz i cię nie obiorą, to cóż poczniesz?» – pytają jeszcze. Polak spokojnie odpowiada: «Powrócę na to miejsce i będę nadal tak wesołe sztuki grał na tej cytrze, jako i teraz». Oto, chłopcze, masz Polaka”.

Uśmiechnąłem się jeno, alem nie replikował, lubo, jako żywo, nie ze wszystkim zgodzić się mogłem, co dziad mówił, choć byłem wychowany przez niego w dyscyplinie społecznej, w niechęci do wszelkich buntów. Przecie jeżeli walczył w armii napoleońskiej to dlatego, że była to armia wielkiego cesarza. Aliści gotów byłem przyjąć jego przekonanie o przyczynach zguby naszego kraju i uznać namalowany przezeń wizerunek Polaka.

Jakżeż trudna jest starość! Człowiek, uładzając pod koniec żywota pasma swych wspomnień, stara się nadać im jakowyś logiczny i moralny sens. Ilu starców – tyleż filozofii. Wystarczy, by spotkali się tacy trzej – a wybucha między nimi wojna. Każda bowiem moralność cudza jest w oczach jednostki zawsze zła – krom owej jednej, własnej.

Nie dojechaliśmy nawet do samego Nietrzezanowa. Już przed tą majątnością stangret skręcił w bok. Wtedy dziadek jeszcze raz westchnął:

„Okrutne, żeby ja w swoim wieku musiał nocą po mrozie poniewierać się w tak dalekiej podróży. Powinniśmy wrócić do Winnej Góry. To aliści niemożliwe. Zatrzymamy się w Środzie, w gospodzie jakowejś. Tam pewnikiem nie spotkamy żadnych, pożałuj Boże, przyjaciół”.

Przyznałem mu rację tym razem, Droga Konstancjo.

I na tym mógłbym już zakończyć tę opowieść, gdyby nie



przypadek, który zdarzył się następnego dnia, kiedyśmy po noclegu w Środzie jechali już prosto do dom. Oto za Mieczewem, wiorst parę od Rogalina, dziad krzyknął nagle i podskoczył na siedzeniu, jakby mu kto szpilę w ciało wsadził.

„Nie ma! Nie ma!” – zawołał.

„Czegoż to nie ma?” – spytałem, kiedy już zamilkł i jeno wpatrywał się we mnie jako we złoczyńcę.

Sanie stanęły. Stangret wpatrywał się w oblicze swego pana z trwogą w oczach.

„Masz, babo, placek!” – wykrzyknął dziad. „Miałem ci ja w kieszeni szuby pierścień twojej matki i bawiłem się nim. A oto teraz go nie mam”.

Trudno było rzec cokolwiek na to *dictum*, lubo serce mię zaboląło. Mniejsza o kawałek złota, aliści była to pamiątka miła sercu memu. Znałem ten pierścień dobrze. Rzeźbiony zręcznie przez warszawskiego majstra, dla rozpoznania nie miał nawet herbu rodowego, jeno inicjały MR, albowiem matka moja na imię miała, jako wiesz, Michalina. Nieraz prosiłem dziada, by dał mi tę pamiątkę po rodzicielce, aliści uparcie mi odmawiał, mówiąc: „Po mojej śmierci”. Gdyśmy jednakże wyjeżdżali do Winnej Góry, zapowiedział, że po powrocie do dom go otrzymam. A oto teraz taka siurpryza!

Przeszukaliśmy we trzech sanie, prosto na drodze, tak jak staliśmy. Nie było pierścienia ani pośród kożuchów i szub, ani w słomie, ani nigdzie. Pojechaliśmy przeto dalej – smutni i milczący.

Dopiero, kiedyśmy zoczyli rogaliński pałac, dziad odezwał się:

„Tak to niezłomnie powraca prawda, iż wszędzie dobrze, a najlepiej w domu. Nie dość, żem obraży w Winnej Górze doznał, tom jeszcze rodową pamiątkę zgubił w Kórniku. Przekłète miejsce. Tak, bo to było w Kórniku, pomnę, kiedym wychodził z sań, by kości stare wyprostować. Musiał mi tam pierścień w śnieg upaść. Diabeł go tam nawet nie znajdzie. Chyba wiosną, gdy śniegi spłyną. Może dopiero po latach?”

Po tych słowach sanie zatrzymały się przed gankiem.

A pierścień ten zgubiony, Miła Moja, dla Ciebie przeznaczył. Przeto spróbuję go szukać. Pojadę kiedy do Kórnika, odnajdę to miejsce, gdzieśmy stali. Co z tego jednakowoż wyniknie – nie wiem. Wiem jeno, że ten pierścień musisz dostać. I dlatego opowiedział Ci w liście całą tę wyprawę do Winnej Góry.

Skrobiąc piórem papier, nieustannie kierowałem myśl swą ku Tobie. Twój los bowiem, będący losem nas obojga, znajduje się w rękach męża, któremu Ci ukazał w tym piśmie. Da Bóg, że los ten zmieni się na lepsze, czego Tobie i sobie życzę. Do najbliższego, niechybnie już nader rychłego zobaczenia. Przyjmij, Pani serca mego, wyrazy głębokiego poważania, z którym pozostaję Twoim przywiązanym i najniższym sługą.

Edward